

# PION

CENA 50 GR

ROK VI NR 47 (268)

WARSZAWA  
27 LISTOPADA

1938 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TRĘŚĆ

JAN EMIL SKIWSKI — IRZYKOWSKI-BELETRYSTA  
RAINER MARIA RILKE — W CERTOZIE  
STEFAN MĘKARSKI — DROGOCENNY KSIĘGOZBIÓR  
OSIP MANDLIKSTAM — WIERSZ  
KONRAD WINKLER — X SALON I. P. S.

LEON LISKI

## Ś M I E R Ć

Za miastem, przed pagórkowatymi polami stoi dom. W mieszkaniu, na drugim piętrze, są: Ludwik, Joanna i Jano. Jest tam też Marysia, służąca, która znajduje się poza kręgiem siły rozciąganej przez Ludwika, leżącego na łóżku w sypialni.

Jano, który ma pięć lat, chodzi po pokoju i kołysze dużą głową. Jak on wygląda? Ma duże, łagodne uszki, podobne do oczu Ludwika, ojca, ma małe usta i uwyśnioną wargę. Teraz chodzi z rękami założonymi w tyle w śmieśny sposób i patrzy ciągle w okno kołysząc dużą głową. Jego dreptanie po pokoju tam i z powrotem wygląda tak jakby odchodził spacer, daleki spacer.

Joanna, matka, podchodzi do szafy, odziewa się w tył czarne włosy. Ma usta ciemno czerwone, a czerwien jest przeraźliwa i zła. W szafie wiszą suknie i płaszcz.

Jano podchodzi do okna. Z pagórków zlewa się leniwie krwawa rzeka światła: jest zachód. Drzewa są zanurzone w świetle i tylko najwyższe gałęzie dotykają chłodnego nieba. Za oknem, tak czuje Jano, jest niepokój i wygięcia drzew są meczaco oczekujące. Wysuną wargę i dotyka nimi szyby, która jest chłodna, podobnie jak część nieba, gdzie nie ma światła. Tam widać szklisty, omotyany mgłami księżyc, podobny do świecącej ryby.

Tak wygląda za szybą, to widzi Jano, ale wie też, co dzieje się za nim. Tam stoi Joanna, przed szafą, w której są suknie i płaszcz. Teraz następuje krótka chwila, kiedy czuje się, że noc jest zła i że dzień jest jasny, kiedy widać równocześnie słońce i księżyc na niebie; a Jano zapomina w dzień o nocy i w nocy o dniu.

Dlatego więc, że czuć już zblizającą się noc, decyduje się Jano na coś trudnego i bijące serce nie pozwala mu mówić. Ciągłe patrzy przez okno, ale wie, co dzieje się za nim. Obraca się wolno, podchodzi do matki i mówi już całkiem spokojnie:

— Jano, ty musisz odejść?  
Joanna obraca na niego swoje bardzo puste oczy, piękne i czarne. Odpowiada:

— Nie odchodzę wcale.  
Potem dodaje:

— Marysiu, proszę dać dla Jana kolację. On musi iść już spać.

Trzeba decydować się szybko.  
— Jano, czy mogę iść jeszcze przed dom?

— Tak, możesz.  
Jeszcze przed chwilą można było myśleć inaczej niż teraz. Teraz trzeba nosić ciężki ból tu w środku koło żołądka i wielki smutek. Schody są ciemne. Już z pierwszego pietra widać bramę, przez którą pada światło, i czuć powietrze idące od pół. Wszystko rozmokło, roztajało i rozmokło. Rozwarły się pory ziemi i tusta woda splywa po gałęziach. Lepki i miękki wiatr weiska się między wargi i wdiera się w

nos. Jest ciepły i ma słodki smak. Na wzdętych drzewach wiszą paki i zapachy tryskają z ziemi.

Przedzierając się między krzakami zobaczył Jano tłusty pak wiszący na gałęzi. Ogląda go dużymi, zdziwionymi oczami, dotyka go ręką. Pak jest spuchnięty, i widać że będzie musiał pęknąć. Jano chce czekać, aż wyjdą z niego małe, zielone liście. Wpatruje się właśnie w gałązkę sięgającą sinie usta, gdy słyszy daleki głos Marysi, wołający jego imię. Wtedy rozrywa tłustą powłokę i zagłada szybko do środka. Myśli: — „Zrobiłem wiosnę” — i biegnie prostą aleją między drzewami. Na schodach spada na niego z powrotem smutek, który rozplynął się poprzednio po niebie i drzewach. Joanna odejście, mimo że patrząc głęboko pustymi oczami powiedziała: — Nie odchodzę wcale.

Za chwilę siedzi na stolku w kuchni i patrząc w okno polyka grysik, który mu Marysia daje do ust. Potem kładą go do łóżka i Joanna mówi:

— Śpij, śpij. Obróć się do ściany.

Jano leży z zamkniętymi oczami i słyszy, jak w sypialni jęczy Ludwik, jak Marysia kręci się po pokojach. Joanna odejście niedługo, a w domu zostanie ojciec, Ludwik, i Marysia. Mogłoby się wydawać, że ten pierwszy fakt posiada dostateczną siłę, żeby duży smutek uczynić mniejszym. Nie jest tak, i nie może być, a dlatego, to zostanie opowiedziane zaraz. Zostanie opowiedziane też inne zdarzenie, pozostające w luźnym na pozór związku z tą sprawą. Odegra w tym rolę okno, w które patrzy teraz Jano spod przymkniętych powiek. Słyszy on też głos Joanny:

— Marysiu, czy Jano śpi?

— Tak, śpi, proszę pani.  
Słyszy jak Joanna podchodzi do szafy, w której wiszą suknie i płaszcz.

Jano żył na przejściu między magią a dniem, i na jego niebie świeciły równocześnie słońce i księżyc. Nie różnił się tym tak bardzo od innych dzieci, a przewalające się po dnie duszy siły wielkie, przerażające, nie były otoczone tak silną jak u starszych skorupą. Od czasu kiedy Ludwik zachorował i było wiadomo że umrze, promieniowało z sypialni jego uciekające życie i czyniło się przeraźliwie obecnym. Wtedy wplątane w krąg jego siły trzeszczały wzdennie skorupy i innych starszych ludzi, a kotłujące się na dnie krzyki i noc wydobywały się na wierzch. Dlatego nie należy dziwić się małemu Janowi.

Ratunkiem i punktem oparcia był dawniej Ludwik, Ludwik, ojciec, był wielki i potężny. Miał wpływ na dalekie niewiadome sprawy, a jego ręka sprowadzała spokój. Gdy wołał w nocy: — Mamo, mamo... — wstawał właśnie Ludwik i podchodził do łóżka. Wtedy Jano był zawstydzony, bo

strach wydawał mu się mało ważny i głupi. Mówił eicho:

— Chcę twoją rękę.

Wtedy Ludwik dawał mu rękę i głaskał go po dużej głowie, a Jano wchodził po malu z nim w miękki ciepły świat i łagodne ciężkie opary spadały mu na oczy: spał.

Nie często wołał w nocy. Dopiero, gdy w walce czuł się pokonany, gdy coś zimnego podchodziło do gardła, wydawał w ostatniej chwili krzyk „Mamo”, spadał na poduszki wyczerpany, koszula lepła się od potu. Wtedy przychodził Ludwik lub Joanna.

Dziś nie mógłby już wołać „mamo”. Między nim a tym dźwiękiem stało zdziwienie, strasne i nieprzyzwoite tak, iż miał wrażenie że zanurzają go w kale i przerażeniu; a nastąpiło ono w pierwszych tygodniach choroby Ludwika.

Pewnej nocy runęli bogowie, zawałilo się coś, a została ogromna dziura, srośna i czarna. Pewnej nocy słyszał Jano, jak ktoś woła: — Mamo, mamo!

Wtedy wstał z łóżka i podszedł w białej koszuli do drzwi sypialni. Tam zrozumiał, że to woła Ludwik i widział Joannę siedzącą koło niego i patrzącą pustymi oczami, o których mówił, że są jak studnie. Stał więc w długiej koszuli w drzwiach, miał wrażenie że zanurzają go w nieczystościach i błoście, i nie mógł obrócić głowy. Nie mógł obrócić jej też dlatego, że uważał, iż zobaczy za wyrażenie rękę za szybą. Dlatego nie obracając się wszedł tyłem do łóżka, po malu i ostrożnie. Potem nakrył głowę pierzyną, zamknął oczy i dygotał.

Nie należy bowiem widzieć pewnych rzeczy za jasno. Nie wiadomo czy istnieją one całkowicie i czy obowiązek przyjęcia ich za istniejące nie jest zbyt ciężki. Oddziaływała się za zasłoną i poświęca się im pewne czynności niejasne, ale surowo przepisane. Wykonuje się je ze wstydlwym uśmiechem na ustach i tłumaczy się, że robi się to dla zabawy, tak sobie dla zabicia czasu. Liczy się płyty na chłodniku, wstrzymuje się oddech do uduszenia się. Oddziaływa się ów świat zasłoną od dnia i świadomości i uważa się, że sny nie waleją się po pokojach, że kobiety o szklanych oczach nie chodzą po korytarzach, że nie ma rąk za szybą i nie słychać zduszonych krzyków wśród nocy. Ale na dnie duszy ukrywa się strach i natarczywe pytanie: — Co będzie, gdy coś zerwie zasłonę?

Wiadomo już dlatego Jano zostanie za chwilę sam, mimo że w sypialni leży ojciec.

Coraz częściej czuje Jano, jak w Ludwika wkraça coś obcego, jak go zjada jakaś zimna przestrzeń, od której odwraca się oczy; i tu ma też wrażenie jakby działo się coś strasnego i obrzydliwego.

Coraz częściej jeży też Ludwik, cicho,

dziecinie, i glosy które wydaje nie są jego głosami. Jego pożerane ciało zmienia się, mknie i jest jakby wchłaniane od środka. Zamiast policzków ma duże dziury, na niebieskich wargach ma mokną, rozpaczną wyspkę, przez którą ścieka ślina. I nie wiadomo, czy uważać to coś, leżące na łóżku, za Ludwika. Za dużo pozostało w nim z przeszłości, za dużo zostało zjedzone; a najgorsze, że ten leżący na łóżku uczepił się swojej dawnej postaci i nie chce z nią zerwać. Dlatego trzeba przez pietyzm i strach udawać, że wierzy się, iż na łóżku leży Ludwik.

Tak myśli Jano, leżąc z zamkniętymi oczami zwrócony w stronę okna. Przed nim jest nieskończenie długa noc, bo nie potrafi podzielić jej na oznaczające coś godziny, bo zapada w sen jak w wieczność i śmierć, żeby przebudzić się znów daleko, na nowo kiedy znów jest jasno. Nie jest tak łatwo pojąć, że z nocy robi się dzień. Dlatego zdaje mu się, że ma przed sobą ogromną czarną przestrzeń, w której będzie musiał zanurzać się po malu, coraz głębiej i nie będzie widać dna, nie będzie mógł zamknąć się w sen, który przewiezie go na drugą stronę nocy, będzie musiał myśleć i ciągle myśleć czekać, aż przyjdzie Joanna i wybawi go dotknięciem ręki z ciężkiego obowiązku czuwania, Joanna, która dopiero zamyka drzwi od szafy, w której wiszą suknie i płaszcz.

Znaczy to że jest już ubrana. Słyszy, jak podchodzi na palcach do jego łóżka. Stoi tak chwilę, a on czuje że jest blisko, chociaż nie widzi jej. Ma ochotę otworzyć oczy, objąć ją za szyję i płacząc prosić, żeby została. Ale nie wolno przerwać gry, nie wolno prosić. Joanna musi odejść. Joanna pochyła się nad łóżkiem i całuje czerwonymi ustami, których czerwien jest zła, jego czoło. Serce stanęło i oddech zatrzymał się w gardle. Potem Joanna odeszła, serce odetchnęło głęboko i kurcz rozplynął się wolno. Drzwi trzasnęły, Joanna poszła.

Wtedy on wyszedł też z łóżka i podszedł do okna. Na dole, na ulicy, w niespokojnym wietrze świecą zielone latarnie. Daleko widać niejasne zarysy drzew, a na górze podłużny księżyc prujący chmury.

Na dole w świetle latarni widać też Joanna. Idzie wolno, i Jano myśli, że jest najpiękniejsza na świecie. Jeszcze przez chwilę będzie ją widać, aż do zakrętu; aż do drugiej latarni świecącej zielono i słabo. Złe jest widzieć ludzi odchodzących, złe jest stać za szybą w smutku płynącym za okna. Joanna mknie teraz w cieniu, aby wynurzyć się znów w świetle ostatniej latarni na zakręcie. Im lepiej będzie ją widać, tym prędzej zniknie.

— Jano, Jano.  
Coraz bliżej...  
— Jano!



STEFAN MĘKARSKI

# DROGOCENNY KSIĘGOZBIÓR

*Jobanis de turte cremata. Cardinalis scti Sixti vulgata et nuncupati explanatio in psalterii fimit. Cracis impissa*

Zakończenie druku „Explanatio in psalterium” Turrecrematy (1474)

W okresie swojej pierwotnej organizacji, tj. pod koniec XVIII-go stulecia, posiadała Biblioteka Uniwersytecka Jana Kazimierza we Lwowie wcale pokazywać zasób inkunabułów tj. druków z XV-go w. i starych poloników z XVI-go i XVII-go w. Na skutek zarządzenia rządu wiedeńskiego — po jęzefińskiej kasacji zakonów — 147 klasztorów przekazało swoje zbiory lwowskiemu księgozbiornemu uniwersyteckiemu, tak że około 1786 r. wpłynęło z tego źródła 40.000 tomów, wśród nich biblioteka i archiwum Benedyktynów w Tyńcu. Niestety, wskutek lekkomyślnego wyzbywania się quasi - dubletów na aukcjach publicznych w latach 1790 — 1803, stare rzeczy polskie, wyosobnione w t. zw. „Bibliotheca Patria Galicensis”, skurczyły się do liczby 7000 dzieł; z ogólnej zaś liczby inkunabułów (668) przekazało wiedeńskiej Bibliotece Nadwornej 127, tak że w lwowskim księgozbiornym uniwersyteckim pozostało w r. 1786 — 541 druków z XV-go wieku. W ciągu dalszych lat 60-ciu, tj. do r. 1847, zbiór inkunabułów wzrósł do liczby 900; był to zatem zasób już niemały, który — podobnie jak i działy starodruków polskich z XVI-go i XVII-go w. — dzięki energii ówczesnego dyrektora Biblioteki Franciszka Strońskiego posiadał wyraźne tendencje dalszego wzrostu zarówno przez nabytki jak i prywatne darowizny.

Katastrofa pożaru w r. 1848 podczas bombardowania Lwowa przez gen. Hammersteina strawiła niemal doszczętnie uniwersytecki księgozbiór lwowski. Spłonęła cała „Bibliotheca Patria”, archiwum tyńskie, z 51 tysięcy tomów ocalało zaledwie 13.000, trzy czwarte zbioru inkunabułów padło pastwą płomieni. Z 900 piętnastowiecznych druków pozostało zaledwie 205. Jak powoli zaś orestaurowano zasób inkunabułów, dowodzi fakt, że w ciągu następnego 90 lat (do r. 1937) przybyło zaledwie 29 nabytków, tak że stan inkunabułów w lwowskiej Bibliotece Uniwersyteckiej wyrażał się w tym czasie liczbą 234. Zasób starodruków w omawianej Bibliotece doznał wydatnego zwiększenia dopiero w ostatnich latach. Nabytce zaś w łecie br., dzięki energii i wytrwałym zabiegom dyrektora lwowskiej Biblioteki Uniwersyteckiej, dra R. Kotulki, spuścizny po śp. Józefie Koziebrodzkim, o której tutaj pragniemy dać pierwszą publiczną wiadomość, stało się wydarzeniem kulturalnym, które — poza kolumnami bibliotekarzy naukowych — zainteresuje na pewno również szerszą oświeconą publiczność.

Józef Saba Marcin hr. Koziebrodzki, urodzony w r. 1870 w Dźwiniaczu na horzeczowskim Podolu, był postacią dobrze znaną wielu bibliotekarzom naukowym i antykwaryuszom polskim i zagranicznym, szczególnie niemieckim. Ten szlachcic o polskiej szturcie, o sarmackim wyglądzie radosowego hreścokosia, zawarł całą swoją pasję życiową w gromadzeniu i skupowaniu starych książek. Wydał majątek na książki. Płacił za nie znakomicie. Hojność iście wielkopolska nie znała granicy, gdy umożliwiała nabytce osobliwości czy rzadkości bibliograficzne. Niejedna anegdota uwieczniła tę właściwość fanatycznego zbieracza. Trzeba jednak podkreślić, że Koziebrodzki był zbieraczem umierycznym, że znawstwa jego nie obciążał snobizmem kolekcjonowania w sensie sztuki dla sztuki. Od prywatnych właścicieli, antykwaryusz krajowych i obcych, na liczących aukcjach książek, polskich i zagranicznych, w których osobście uczestniczył, nabywał Koziebrodzki cenne, rzadkie i wartościowe. Szczególną miłośnością budziły w nim druki XV-go w. i stare polonica. Jedną z podstaw, na której oparły się poszukiwania Koziebrodzkiego, stał się katalog Nr 107 monachijskiego antykwarza L. Rosenthala, zawierający z górą 2000 pozycji starodruków polskich i litewskich. Niemal wszystkie zawarte w tym katalogu dzieła nabył Koziebrodzki dla swego księgozbiornego.

Po szeregu lat owocnego trudu zbierczego wszedł Koziebrodzki w posiadanie cennej, wielotysięcznej biblioteki. Część jej znalazła się w Krakowie, część we Lwowie, część wreszcie w rodzinnej Dźwiniaczu. Zbieracz marzył o złączeniu swego księgozbiornego w jedną całość i poświęceniu się na starość jego uporządkowaniu i opracowaniu.

Śmierć w r. 1935 unicestwiła te zamiary. Zapiśu żadnego śp. Koziebrodzki nie pozostawił. Wdowa, p. Barbara Koziebrodzka, jako spadkobierczyni, ofiarowała hojnym gestem dużą część księgozbiornego zawierającą „bellicę” i „militarię” Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Pozostały zasób, liczący około 6700 pozycji bibliograficznych, zawierający rękopisy, inkunabuły, starodruki polskie i obce, tudzież nowsze dzieła polskie (XVIII, XIX i XX w.), nabyła właśnie w ciągu bieżącego lata od spadkobierczyń lwowska Biblioteka Uniwersytecka.

Charakterystyka „Koziebrodzcianów”, nabytych przez lwowską Bibliotekę Uniwersytecką, może być w niniejszym artykule oczywiście tylko bardzo pobieżna i zewnętrzna, także i z tego względu, że dopiero w ostatnich dosłownie tygodniach wydobywano je z opakowania w skrzyniach, a ściślej bibliograficzne ich opracowanie znajduje się zaledwie w wstępnym stadium. Wśród kilkumsta rękopisów znajdujemy kodeksy, gradualy, brewiarze, modlitewniki i psalterze z XII-go, XIV-go, XV-go i XVI-go w. Znajdą się między nimi dzieła św. Ambrożego (w. XII), Petrarki, kroniki papieży i cesarzy rzymskich, a z rzeczy polskich — kronika Marcina Polaka (z połowy XIV-go) i glosy polskie, tudzież polski dekalog rymowany przy modlitwach łacińskich z XV-go w. Rękopisy są na ogół doskonale zachowane, większość z nich zdobna jest w przepiękne nieraz, nad wyraz pomysłowe miniatury i iluminacje, a w połączone oryginalne oprawy w deski, powleczone ciętą lub świnią skórą, odznaczają się artystycznymi wyciskami i wzorami zdobniczymi.

Inkunabułów zawiera księgozbiór Koziebrodzkiego 90. W ten sposób ogólna liczba inkunabułów lwowskiej Biblioteki Uniwersyteckiej wzrosła do 324. Trzeba tu naprzód zwrócić uwagę na te druki XV-go w. z księ-

gozbiornego Koziebrodzkiego, które najprawdopodobniej są jedynymi egzemplarzami na ziemiach polskich. Jest takich inkunabułów jedenaście, dla których *Gesamtkatalog der Wiegendrucke* nie podaje żadnej biblioteki polskiej jako właścicielki. Wymienimy te inkunabuły: 1. *Historia Alexandri Magni* po niemiecku (Augsburg 1478); 2) św. Ambroży — *Epistolae* (Mediolan 1490); 3. *Breviarium augustinum* (Augsburg 1493); 4. *Biblia latina* (Strasburg 1466); 5. *Biblia niemiecka* (Augsburg 1475-76); 6, 7, 8. *Biblie łacińskie* wydania bazylejskiego z lat 1475 i 1492/94, tudzież norwimberskiego z r. 1493; 9. *Augustyn* — *Summa de potestate ecclesiastica* (Augsburg 1473); 10. św. Augustyn — *Psalmorum explanatio* (Bazylea 1497); 11. *Cataneus Joannes* — *Ad Alexandrum papam VI oratio* (Rzym 1492).

Najstarszym inkunabułem jest wymieniona wyżej *Biblia łacińska*, drukowana w r. 1466 przez Henryka Eggesteina w Strasburgu. Do najmniejszych inkunabułów zaliczyć wypada bez wątpienia przede wszystkim Turrecrematy — *Explanatio in psalterium* — Cracis (Kraków) ok. 1474, z oficyny (wedle najnowszych badań J. Serugi) Kaspra Straubego. Jest to, jak wiadomo, po „*Calendarium Anni Domini 1474*”, drukowanym w r. 1473, drugim drukiem w Polsce w ogóle. „*Turrecrematy*”, znanych *Estreicherowi*, było dotychczas w Polsce 30. Jest to zatem 31 egzemplarz, znajdujący się w bibliotekach polskich.

Niespóbsz wyliczać i opisywać tu wszystkich zawartych w księgozbiornego Koziebrodzkiego inkunabułów. Ograniczyć się wypadnie do wymienienia najciekawszych i najwartościowszych. Zasobny dział biblii obejmuje 9 jej wydań z lat 1466 — 1493, z wymienionych wyżej miejsc drukarskich. Z ksiąg liturgicznych wymienić należy: *Missa Babenbergense* (1490) i rzymskie (Wenecja 1493), psalterz łaciński, wydany ok. 1480, bliżej bibliograficznie nie oznaczony. Obszerny jest zbiór pisarzy kościelnych i Ojców Kościoła, a więc św. Ambrożego, Augustyna, Alberta Wielkiego, św. Bonawentury, św. Jana Chryzostoma, Tomasa z Kempis, Tomasa z Akwinu, Antonina Florentyna, Piotra Lombarda, Rejnera z Pizy, Mikołaja z Kuzy, Wincentego z Belluwaku, Jana de Balho oraz papieża Piusa II

*Inprimis son estas siete parti / das enla muy noble e muy leal çibdad de Sevilla. por Reynardo Çingur Alamano. e Lançalao polo no compañeros. Enel año del nascimiento de nuestro saluador. Jhesu cristo de mill e quatroçientos e no uenta e vno años. e se acabaron a veynte e çinco dias del mes de otubre del dicho año.*



Znak drukarski Stanisława Polaka z Sewilli (1491)

(Eneasza Silvio Piccolonimi). Prawników reprezentują: Gratianus, Bartolmiej z Anglii, Baldus de Ubaldis; lekarzy: Szymon z Geni; z pisarzy klasycznych spotykamy Wergilego, Horacego, Pliniusza Młodszego oraz Valeriusa Maximusa. Zagadnienia wojskowe porusza dzieło Sextusa Frontinusa. Rzadkim niezmiernie dukiem (dla którego *Estreicher* nie podaje żadnej biblioteki posiadającej) jest: *Sabio Alfons* — *Las siete partidas* M. Unguta i Stanisława Polaka, tłoczony w Sewilli w r. 1491. Wśród inkunabułów polskich znajdujemy rzadkie *Statuta gnesnensia*, wydanie J. Gruenigera w Strasburgu 1496-97, Marcina Polaka Kazania (Strasburg 1488) i Kazanie Mikołaja z Błonia (Strasburg 1494/5).

Oprawy inkunabułów są w większości oryginalne, wykonane wspólnie z deską, powleczonej skórą świnią lub ciętą, ślepo wytłaczaną w ornamenty liniowe, wypielone rozmaitymi motywami zdobniczymi (roślinno - figuralnymi), oraz niejednokrotnie, wedle praktykowanego połowiczaszczu, opatrzone metalowymi ochronnymi okuciami na narożnikach i klamrami. Obok tych pięknych i cennych dla historii kultury opraw, w nielicznych inkunabułach znajdujemy zapiski współczesników, notatki o właścicielach, herby ofiarodawców artystycznie wykonane, itd.

W bezpośrednim związku z najstarszymi pomnikami sztuki drukarskiej pozostaje kilkadziesiąt prawie inkunabułów, książek tłoczonych tuż po r. 1500, których szata typograficzna, ilustracyjna, a także zewnętrzna oprawa, niewiele się różni od techniki wyposażenia inkunabułów. Należą tu druki francuskie *Jean Petit'a* w Paryżu, *Leonarda Pacla* w Mediolanie czy *Jana de Fridino* w Wenecji lub drukarzy niemieckich. Ta kategoria książek rzuca się szczególnie w oczy dzięki 2 tomom, pochodzącym z prywatnej biblioteki króla Zygmunta Augusta, w charakterystycznych oryginalnych oprawach tego przepięknego renesansowego księgozbiornego.

Księgozbiór zawiera następnie blisko 1300 starych poloników (XVI i XVII w.), wśród których reprezentowana jest literatura piękna, historiografia, piśmiennictwo teologiczne, dotyczące szlachy religijnej, tak zachodniej jak i wschodniej, z piękną kolekcją arianskich druków rakowskich, zbiór biblii, mszałów, herbarzy, zielników itd. Znajdzie się w tym dziale cenny i tak rzadki w Polsce egzemplarz *Mercuriusza Gorczyca*, pierwszej polskiej gazety, całość zaś przedstawia istną rewiew ówczesnych druków w Polsce. Na czele krocy tu pierwszy drukarz krakowski w latach 70-tych XV-go w. Kasper Straube (on to tłoczył wspomnianego wyżej *Turrecrematy*), dalej Stanisław Polak, drukarz osiadły w Hiszpanii. XVI wiek reprezentują: Jan Haller, Florian Ungler, Wietor Hieronim, Scharffenbergerowie, Maciej Wierzbietka, Łazarz, Jakub Siebieniecher, lwowska oficyna Pawła Szezbienca. Z XVII-go w. spotykamy Szelię, który z drukarnią swoją



Początek tekstu dzieł św. Ambrożego (XII w.)

wędrował od Krakowa poprzez Dobromil, Jarosław do Lwowa. Obficie reprezentowane są druki ariańskiego Rakowa, wreszcie rzadziej spotykanych oficy w Nieświeżu, Ostrogu, Grodzisku itd. Blizsze dopiero badania ustalą, jaką merytoryczną wartość przedstawiają te stare polonica, ile w nich znajdzie się osobliwości, białych krnków, rzadkich egzemplarzy itd. — Dział starodruków obcych przekracza 800 pozycji i za-

wiera dzieła, pochodzące z najwybitniejszych i najrzadszych drukarni włoskich, holenderskich, francuskich, angielskich i niemieckich. — Zbiór dzieł od w. XVIII-go po nasze czasy, wyrażający się liczbą ok. 4300 książek, zawiera pamiętniki, literaturę, historię, bibliografię itd.

Powyższy, szkicowy z konieczności, przegląd najważniejszych dzieł księgo-

zbioru Józefa Koziembrodzkiego daje niejako wyobrażenie o jego osobowości i wartości naukowej tudzież bibliograficznej, wskazując równocześnie główne cechy zamiloowania zmarłego właściciela jako zbieracza.

Przez trzy lata, od zgonu śp. Koziembrodzkiego, ważyły się losy tego cennego księgozbioru. Preraktacje o jego nabycie dla lwowskiej Biblioteki Uniwersyteckiej nie były łatwe i natrafiały na różne trudno-

ści. Można dziś zdradzić tajemnicę, że były momenty, w których groziła emigracja tego księgozbioru za granicę, do obcych antykwariatów. Dużego wkładu energii i zabiegów wymagała troska, aby cenny ten zbiór zachować w Polsce, a także by jako piękne świadectwo regionalnego trudu kulturalnego przyswoić trwałe owoce pracy kresowego entuzjasty starożytności książki zasobom bibliotecznym Ziemi Czerwieńskiej.

STEFAN MĘKARSKI

JAN EMIL SKIWSKI

## IRZYKOWSKI — BELETRYSTA

Nie chodzi mi dziś o tego Irzykowskiego, którego wszyscy znamy jako autora *Paluby*, *Śniegu Marii Dunin* oraz kilku mało już dziś pamiętanych utworów dialogowych. Uwagi, które tu spiszę, płyną z innych zainteresowań. Oto przeglądając ostatni zbiór felietonów Irzykowskiego, natknąłem się na parę sytuacji beletrystycznych, kreslących w moim przekonaniu drogę, którą szła twórczość pisarza, drogę ukrytej, skondensowanej beletrystyki. Irzykowski zwierzał się niedawno w *Gazecie Polskiej* z pewnego

używając metafory Prousta, prawdziwy święty Sebastianizmom.

Jeśli oceniam zestawione tu sucho drobne obserwacje psychologiczne Irzykowskiego miarą przyjętego t. zw. poziomu dla dobrej noweli i powieści — uderzy nas bogactwo zabarwień, powikłań, punktów wyjścia, umiętność ponysłowego ustawienia zwierciadła w ten sposób, że z odbiciu powstaje jakiś labirynt dróg, zakrętów, blysków, smug światła i cieni. Całe to bogactwo, które jest tylko z daleka pokazane jako *możliwość*, rozwinięte na normalnym warsztacie beletrystycznym, odpowiednio upostaciowane, wprawione w ruch konstrukcją fabuły i konfliktów, otwiera naprawdę możliwości beletrystyczne o tak szerokiach horyzontach, jakich darmo szukałbyśmy we współczesnej naszej powieści. Wspomniałem tu nie o istocie tego *Sylwestra Deptusia*, ale po prostu podjąłem po drodze parę ubocznych wątków, które już w perspektywie dałyby się bogato rozwinąć. W wyższym jednak stopniu można to powiedzieć o rozwinięciu tego szkicu beletrystycznego, kiedy Irzykowski przechodząc od realizmu do fantastyki, każe Deptusowi wpaść uciekać przez rzekę, przed pogonią Nowego Roku, goni-

cego za nim z żagwią, którą Deptus chciał zgasić. Wola: „Co za natręctwo!”. Ale Nowemu Rokowi też odciechało się gonić Deptusia. Sam zgasił pochodnię. Nabój zapalony w piwnicy i tego roku nie eksplozował. „Zardzewiał” — tłumaczył Deptus przyjaciółcom. Gmach grzechów rósł dalej w górę. Nie można ich wymyślać jak śmieci, na komendę. Jest w tym jakiś chęsternowski symbolika, tylko wyższa, bo bez ukrytych tendencji apologetycznych jak u angielskiego pisarza. Stosunek Irzykowskiego do motywów beletrystycznych cechuje pewne okrucieństwo, być może wynikające z poczucia, że nie starczy całego życia na to, by je w całym bogactwie rozwinąć. Stąd — sądzę — powstaje jego symbolizm. Sytuacje autor kondensuje do tego stopnia, że stają się one już tylko wskaźnikami, szkieletami, schematami, w których mimo tego okrutnego obłupienia z ciała wibruje jednak życie, prawdziwie tęgie życie doskonałej powieści.

W *Lżejszym kalibrze* znajdujemy jedną próbę beletrystyczną mniej zgrzeszoną, gdzie autor pozwolił bohaterowi odechnąć mniej ścieśnioną pierś, nie dusząc jej w gorsecie symbolów. Mam na myśli to, co

autor nazwał „etiudą metafizyczną” pt. *Złodziej*, *Przeżyca człowieka*, który wraca do swojego mieszkania i spostrzega, że jest okradzione, należą chyba do jednej z celniejszych stron naszej powieści psychologicznej. Warto zacytować: „Coś się tu stało — lecz nie pozwoliłem temu uczuciu podskakiwać w sercu...” „Zdjął mnie strach i ohrzyczenie tak wielkie, że osłabłem i musiałem uisnąć. Stwierdzić co zginęło, ocenić wysokość wyrządzonej szkody, dawać znać do policji — te zabiegi, oczywiście konieczne, były im na razie objęte (?). Należało zrozumieć i zmierzyć samą sytuację.

Balem się poruszam w pokoju, balem się dotykać sprzętów, aby palcami nie trafić w te same miejsca, których dotykał złodziej, zostawiając na nich plamy palące. Fluid jego napelniał jeszcze pokój, duch jego jeszcze tu plądrował, groził: wysoki, ezybki, bezwzględny.

Niedobrze mi było, napilem się wody i odważyłem się przysiąć do badania najważniejszego: co mi mianowicie ukradł. Ukradł: pierścienek złoty z agatem, sygnet po ojen, trochę nadpilnowany; kwotę pieniężną, lekkomyślnie przygotowaną na spłacenie pewnego haniębnego długu; kasetę wiadomą...; ubrania i innych drobiazów nie liczyłem. Zdegradowanie moje było kompletnie. Duma rodzinna zdeptana. Stan zażenowania cofnięty o parę lat wstecz. Hańba długu przywrócona. I ojciec nie wyskoczył z ram obrazu, a zegar szedł beznamiętnie dalej. Każe otoczenie czekało co ja zrobię.”

Oczywiście sprawa się potem komplikuje, jak zwykle u Irzykowskiego, szukającego w sytuacjach realnych metafizycznego wylotu. Już na następnej stronie czytamy wyznanie: *posiadałem posiadanie*. Ale to wyznanie na wyższą metafizyczną kondygnację nie jest spekulatywne, jest wciąż psychologiczne, otwiera nowe głębie w procesie rozterki duchowej, której ofiarą padł człowiek okradziony. I tu znowu Irzykowski wyraźnie przekracza próg konwensu psychologicznego, ustalony jako normalny w tzw. powieści psychologicznej. Skłonność do filozofowania nie jest u naszych pisarzy (i pisarek) nowa. Przeciwnie, niektórzy, zwłaszcza niektórzy z nich robią wszystko co mogą, aby z realizmu, w którego świecie obracają się swobodnie, skoczyć zgrabnie na szczydła metafizyczne. Te skoki są zwykle niefortunne a zarazem lekkie, równie mało efektowne co pretensjonalne. U Irzykowskiego są one naturalne, po prostu *odbija* się on od sytuacji realnej w świat nie tyle uogólnienie, co jasniejszego, szerszego widzenia rzeczy. Można sobie wyobrazić, jakie rezultaty osiągnąłby pisarz z podobnymi dyspozycjami, gdyby porzucił metodę zgrzeszenia wielkich kompleksów realizmopsychologicznych w suchy aforyzm, w szkic, w aluzję sytuacyjną, gdyby im dał pełne życie.

O Irzykowskim-beletrystycie mówią również wymownie jego aforyzmy. Nie są to „maksymy filozoficzne”, wyciągi tzw. mądrości życiowej, dalekie uogólnienia, które zatraciły już związek ze źródłem życiowym, z którego się poczęły. Przeciwnie, aforyzmy Irzykowskiego są zawsze widzeniem szerszej rzeczywistości spoza jakiegokolwiek innej, węższej, konkretnej. „Krytyk L. jest jak zecer, który robi błędy z sensem, zecer myślący; taki jest najniebezpieczniejszy”. Albo taki aforyzm: „Być błędem drukarskim mającym sens — straszną egzystencją, jedną z kar piekielnych”.

Takie i podobne obserwacje z pozoru tylko abstrakcyjne, przy nieco uważniejszym wyciuciu się w nie, odsłaniają łatwo to podłoże obserwacyjne, z którego wyszły. Irzykowski przypomina wielce jednego z mistrzów swojej młodości, poetę, którego kult przechrwał do ostatnich czasów — Hebbła. Bo Hebbel też był w aforyzmach poetą i beletrystą. Podobnie Irzykowski-aforysta, gdyby swą myśl wypuścił z klezmy schematów na wolność, dał się jej rozrastać i odżywiać pokarmem rzeczywistości, stałby się niewątpliwie jednym z ciekawszych i niespodziewanie oryginalnych fenomenów naszego powieściopisarstwa.



KAROL IRZYKOWSKI (1915)

nienapisanego poematu, którego tematem miała być rozmowa Wawrzyńca Putkamera, przyszłego sędziego Maryli Wereszczakówny, z młodym Mickiewiczem. Jeśli o moje wrażenie chodzi, nie odnalazłem w temacie, mało nadającym się do komplikacji intelektualnych, spoczywającym raczej na głębi wyrazu lirycznego, prawdziwego Irzykowskiego. Sądzę, że Irzykowskiego - beletrysty, beletrysty, który mógł się urodzić (a do takich poszukiwań skłania nas sam autor swoimi ostatnimi zwierzeniami) szukać by raczej należało w jego aforyzmach, lub w tych niesłychanie skondensowanych szkieletach noweli i sytuacji, które wtoczył do ostatniego zbioru pt. *Lżejszy kalibr*.

Proszę wziąć choćby szkic pt. *Sylwester Deptusia*. Zbiera się paru panów i opowiadają sobie w dzień Nowego Roku swoje największe grzechy. Okazuje się jednak, że żaden nie opowiedział reszty. Każdy, idąc za instynktem, ulegając pewnej wrodzonej ludzkiej pretensjonalności, pokazywał swój grzech w pełnym świetle tylko jeżeli chodzi o jego ogrom i grozę, ale równocześnie zatajał jego małość, jego strony śmieszne, wstydlive. Irzykowski znakomicie demaskuje mechanizm zatajania nie tyle największego zła, ile właśnie — w tym największym zle — jego pewnej drobiazgowości. Bo oto obszarnik wyznaje, że bijał swych formal, ale nie przyznaje się, że ich oszukiwał na ordynarii. Szef biura przyznaje się do nierobstwa, ale tai, że wyrzucił biuralistkę i wprowadził na jej miejsce siostrę

RAINER MARIA RILKE

### W CERTOZIE

Każdy z białego bractwa, ufny kwiatom,  
Powiedział mi swym klombom i rabatom.  
Po każdym klombie znać, kto go dogląda.  
A jeden brat w tajemnej pysze żąda,  
Aby mu w maju  
Dziko rosnące kwiaty objawiły  
Obraz tlumionej jego sily.

A jego dłoń, omdlała ze znużenia,  
Podpiera głowę, w której szumią soki,  
Co niecierpliwie toczą się przez mroki.  
A ciężki habit, pełen fałd i cienia,  
Do stóp mu splywa, wokół ramienia  
Mocno opięty, które jak szeroki  
Pień dźwiga dłoń, stworzoną do marzenia.

Głos jego młody nie chce nocą parną  
Zawodzić *M i s e r e e* z nabożeństwem,  
Nie chce przed żadnym uchodzić przekleństwem,  
Bo nie jest sarna.

Rumakiem jest, w upręży dęba staje  
I poprzez rowy, groble i przeszkoody  
Chce go daleko ponieść do swobody,  
Na olepek nieść przez łąki i rozstaje.

On jednak siedzi. Pod myślą, co krąży,  
Lamia się niemal jego rąk przeguby,  
Tak cięży myśl i coraz bardziej cięży.  
Zbliża się wieczór — wędrowniec łagodny,  
Dal pustoszsze, wiatr się zrywa chłodny,  
Na stokach jaru cień osiada gruby.  
I jako łódź, co rwie się na lańcuchu,  
Staje się ogród, w nieustannym ruchu  
Na zmierzchu wisząc, kołysany wiatrem.  
Któż go wyzioli?...

Tak młodym jest fratrem,  
A dawno już umarła jego matka.  
Wie o niej tylko: zwano ją *La Stanca*;  
Była jak kielich delikatna, gładka,  
Dano ją temu, który ją co sil  
Jak dżban po wyszczeniu zbił.

Taki jest ojciec.  
W marmurolomach  
Jest majstrem, tam zarabia na życie.  
I każda położnica w Pietrabanca  
Budzi się w nocy, nagłym zdjęta strachem,  
Że klnąc pod okno jej podejdzie skrycie.

A syn, którego *Mater Dolorozie*  
W opiekę oddał i służbę zaszczytną,  
Śni pośród kolumn podwórca w Certozie,  
Śni czerwonymy owianym zapachem,  
Bo jego kwiaty purpurowo kwitną.

Przełożył LEOPOLD LEWIN

KAPELUSZ NA KAŻDĄ PORĘ  
**J. Modkowski**  
Pl.3 Krzyży 18. „Marszałkowska 92.

swjej żony, by ją zmusić do romansu z sobą. Komuniści przyznaje się do sadyzmu i okrucieństwa, ale nie przyznaje się do oszustw wyborczych. Właściciel tajni wyścigowej przyznaje się do kilku uwodzieńców, ale tai, że mu żona rogą przyparowała. Na te tych małodusznych grzeszników odcina się heroicznie na swój sposób szczerością urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przyznający się do jednej przegrody pederastycznej, zaznaczając przy tym, że za tzw. grzech uważa to tylko, że się go dopuścił bez smaku i przekonania. Był to,

JAN EMIL SKIWSKI

KONRAD WINKLER

# X S A L O N I. P. S.

Zdawało się że nerwowo pośpiech, z jakim zorganizowano tegoroczny Salon Instytutu Propagandy Sztuki, nie wyjdzie tej imprezie na zdrowie. Artysty powracający z wyczasów letnich nie byli jeszcze dostatecznie na ów występ przygotowani, a jednak Salon imponuje doborem eksponatów, zwłaszcza w malarstwie, które po swym paryskim sukcesie znacznie porosło w pierze. Bo różne bywają sukcesy w tej dziedzinie. Te „oficjalne” nie cieszą się zazwyczaj aprobatą złośliwego światka bohemy, mającego wprawdzie niezłe wyczucie hierarchii wartości, ale lubiącego często przesadzać w uwielbieniu dla swych faworytów. Dopiero ze skrzyżowania się opinii

artystów z oceną poważniejszej krytyki powstaje ocena dzieła sztuki o trwalszej podstawie, rozumie się: w granicach norm estetycznych, będących w danej chwili *en vogue*. Nasz sukces paryski polegał przede wszystkim na tym, że po raz pierwszy może krytyka tamtejsza potraktowała nasze wyśliki na tym polu poważnie i autentycznie, nie wciągając po sali wystawowej za folklorystyczną egzotyki, którą sami zawsze nieopatrznie naprzód wysuwamy, zapominając o naszych wielowiekowych aspiracjach w dziedzinie kultury pięknej. „Egzotyki” tam nie było, ani chłopskich „totemów”, ale za to było malarstwo w całym słowa tego znacze-

niu — malarstwo (bez przesady) na wskroś narodowe, gdzie ujawniły się w całej pełni: *mentalność i psychika polskiego artysty*.

Celem salonu dorocznego powinno być pokazanie publiczności aktualnego życia sztuki i w związku z tym — jej różnorodnych kierunków, powstałych pod naciskiem różnych indywidualności twórczych. Pod tym względem zdawałoby się, że Salon w I. P. S. jest dosyć jednostronny. Są to jednak tylko pozory, bo okres różnych „izmów” w ich ortodoksyjnej postaci minął już bezpowrotnie i dzisiaj wylamywane same tylko cenne kruszce, które ustępująca fala owych kierunków pozostawiała za sobą. *Dążymy dziś do malarstwa skupionego w sobie, wyrafinowanie intelektualnego, pozbawionego barbarzyńskich odruchów, impulsów seksu i krwi — do malarstwa o pogodnych harmoniach barwnych i absolutnej jednolitości wszystkich czynników budowy.* Nie jest to bynajmniej wyznaczenie wiary jakiegoś klanu malarzkiego czy grupy. Zacierające się różnice między poszczególnymi kierunkami prowadzą siłą rzeczy do jakiejś nowej konwencji plastycznej, gdzie dystans do wczorajszej postimpresjonistycznej i postkubistycznej epoki zwiększa się ustawicznie i gdzie tendencje humanistyczne zarysowują się dość jasno. Malarstwo to nie jest bynajmniej rekordziem wykonującym piękne „malowanki”, lecz funkcją życia i przeżywania każdego artysty. Przeżycia te charakteryzuje przede wszystkim *kolor* drogą samej tonacji, ustosunkowań kolorystycznych, tudzież odrębnych rzutów pędzla. Obraz nie jest już „naturą widzianą poprzez temperament artysty”, lecz niejako rekonstrukcją samostojnej wizji twórczej, obrazu psychicznego, regenerowanego ustawicznym kontaktem z przyrodą.

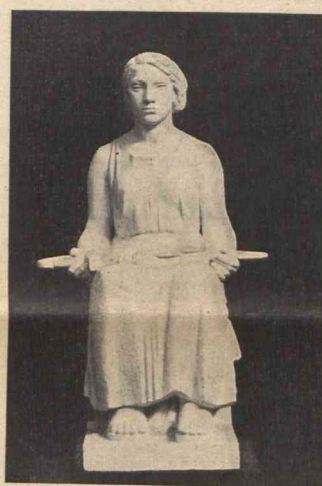
Jeszcze w moich recenzjach z Salonu Malarzkiego w ub. r. w I. P. S. zachęcałem kolegów-malarzy do samodzielnego rozrachunku między sztuką własną i postimpresjonistyczną estetyką (której się dziś tak bezkrytycznie czasami holduje), do śmiałego wypowiedziania swego osobistego stosunku do sztuki i świata, gdzie z instynktu plastycznego malarza rodzi się nie tylko forma osobista, lecz także i samoistny proceder porządku technicznego. W epoce kiedy sztukę dręczą głęboki rozbrat między wyobraźnią i umiejętnością — subiektywne rozwinięcie własnego systemu powinno być największą troską twórczego artysty. Nie chodzi bynajmniej o to, by być „oryginalnym” za wszelką cenę, lecz o to jedynie, by zdobyć się na autentyczność twórczego wysiłku, na szczerość i wrażliwość w obliczu przyrody. Oko malarza organizuje takie czy inne widowisko natury, ale wzrusza nas w nim osobiwa wizja artysty, wyraz jego umysłu i duszy, a nie sztuczka dekoratora lub fantazja mody, które zbanalizują się równie szybko, jak te przeróżne „objawienia”, wprowadzone przez „szkołę paryską”.

Z zadowoleniem stwierdzić muszę, że pod tym względem bieżący Salon I. P. S. wzmocnił swoją pozycję. Wprawdzie niezbyt wiele ciekawszych indywidualności wyraza tam ponad głowę całego zespołu, lecz wśród postimpresjonistów rzuca się w oczy pewna samodzielność ich linii rozwojowej. Szkoda, że tym młodym malarzom patronuje nie Matisse, lecz Bonnard, którego wysoką grę o malarstwo trudno jest wprost pochwylić i spoufalić się z arkanami jego byskotliwej a głębokiej sztuki. Z „kapistów” tylko Jan Cybis pojął go należycie; inni, jak Czapski i Strzalecki, borykają się ze swą wizją w ramach zgola innej estetyki. W punkcie tym rozchodzą się też drogi takich malarzy, jak E. Geppert, A. Gerzabek, H. Gotlib, M. Jaeschke, A. Kossowski, W. Krzyżanowski, Z. Pronaszko, K. Tomorowicz, W. Wilkanowicz i bracia Żuławscy, którzy eksploują tradycję impresjonistyczną na własną rękę. U innych znów dostrzegamy zbawcze wpływy wielkich nauczycieli miary Cézanne’a, który nauczając kompozycji i umiaru dał równocześnie głębokie zrozumienie człowieczeństwa artystom tej miary, co prof. Pękalski i Jan Sokołowski. Ich przyćmione lecz nader szlachetne harmonie barwne mówią o temperamencie pogodnym i pełnym optymizmu. Szczególnie godną wyróżnienia jest scena batalistyczna z 1830 r. w interpretacji Pękalskiego, niebanalna w formie i zwrata w kolorze.

Kramsztyk dał dwa mocne w formie portrety kobiece w tonacji „skrzypców kremoiśkich”, Czyżewski krajobraz zatopiony w srebrzystej poświacie, inni — jak Bielska-Tworkowska, Rzepiński, Rudzka-Cybisowa, Dunikowski, Fedkowicz, Hryńkowski, Rafałowski i bracia Żuławscy — malowidła świadczące o stopniowym rozwoju ich twórczej metody. Postęp w komponowaniu



JULIA KEILOWA Główka

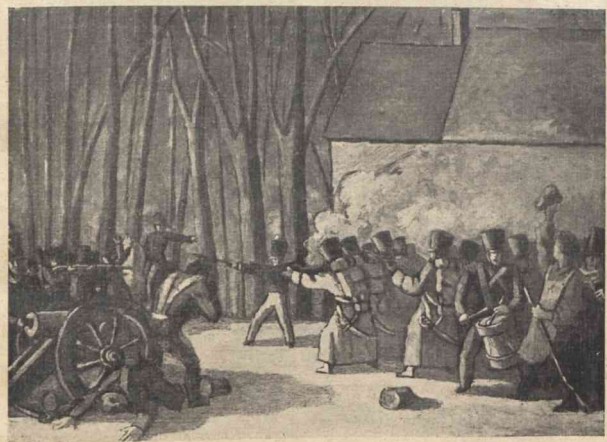


FRANCISZEK HADBAS Polonia Victrix



ALFONS KARNY Gen. Safar Malsak bej

barwą zdradzają prace Gineyki, Rabino-wicza, Trachtera, Karmańskiego i braci Seidenbeutelów. Dobrym nabytkiem obecnego Salonu są kompozycje Z. Ruskowskiego i pejzaże weneckie F. Bartoska, te ostatnie o cennej, derainowskiej inspiracji. Wreszcie Arcet wybrał ze swego repertuaru środków malarzskich atuty najbardziej przekonywujące, które realizuje w swych krajobrazach z Kazimierza. Znaczenie skromniej niż malarstwo prezentuje się na Salonie grafika. Ma ona na-



LEONARD PEKALSKI Obrona Arsenatu 1830



JAN SOKOLOWSKI Pejzaż



CZESLAW RZEPIŃSKI Czerwony konik

